

niu ludności decyduje każdy, kto jest „reichsunmittelbar“, tj. podlega bezpośrednio cesarzowi, choćby był panem na jednej osadzie.

Wojna 30-letnia była pogromem cywilizacji łacińskiej nie tylko w Niemczech. Mieszanka zaś robi swoje: już katolicyzm zaraził się także bizantyzmem. Katolicyzm staje się w Niemczech nawet teologicznie coraz podobniejszy do bizantyńskiego. Zdarzał się bowiem i w Bizancjum katolicyzm, jakkolwiek rzadko i zawsze tylko epizodycznie. Cechą jego bywało zawsze to, że z trzech działów teologii: dogmatyki, ekleziologii i etyki uprawiał tylko pierwszy z nich; drugiego ledwie tyle, ile było niezbędnym; etyką zaś całkiem się nie zajmował, a życie publiczne całkiem od niej zwalniał. W takie koleiny popadała też teologia niemiecka i dopiero w połowie XIX w. próbowała z nich wybrnąć. Dogmatycznie ściśle, o resztę nie dbali.

Zasada cuius regio, przyjęta została również przez „Stany“ katolickie. Skutkiem tego obóz katolicki utracił na długo samodzielność moralną. Stał się „instrumentum status“ całkiem tak samo, jak protestantyzm. Całe życie religijne Niemiec dusiło się w bizantyńskiej metodzie ustroju życia zbiorowego. Okazały się też konsekwencje: kto ma prawo rządzić sumieniami, ma tem bardziej prawo do wszystkiego a wszystkiego innego! Wszyscy też niemieccy „Landesherrn“, stawiający się panami religii w swojej „Landeskirche“, stają się po niedługim czasie — bez względu na wyznanie — władcami o władzy nieograniczonej. Społeczeństwo zepchnięto wszędzie na drugi plan i spychano coraz dalej, coraz niżej.

Poczęła też tworzyć się doktryna polityczna moralność była ilością stała, jednakową od początku, nie czyniąca postępów i nie mogącą ich czynić, ale też nie potrzebująca tego. Etyka taka, ściętniona do życia prywatnego, poczęła wydawać dziwotwory: człowieka moralnego w domu, a zbrodniarza na forum życia publicznego. W hodowaniu tego typu „współwzrostu“ czyli obydwu obywateli „religijne“, stając się albo „miejscem“ „jednego“ „religijne“.

Prostą konsekwencją tego stanu umysłów stał się austriacki józefinizm. Znalazł się Habsburg, pan rozległych krajów katolickich, który nie chciał mieć „swojej“ Landeskirche. Te część „reform“ Józefa II. przyjęła opinia chętnie. Nigdzie nie uchodziło to za prześladowanie katolicyzmu, hierarchia katolicka często sama dopomagała urzędowi cesarskim! Cesarz potknął się na innej właściwości bizantyzmu, mianowicie na jedności. W Belgii, czy w „Galicji“, miała być administracja państwowa wszędzie jednaka (a zatem wszędzie niestosowna) z niemieckim językiem urzędowym i niemieckim biurokrata. To wywołało opozycję, która przeszła w zbrojne powstania.

Przyznanie państwu wyższości nad wszystkim a wszystkim nie mogło nie wieść umysłowości niemieckiej do zobojętnienia względem społeczeństwa i oddania go na łaskę i niełaskę tych, którzy z zawodu swego niejako myśleli za ogół. Niemiec grzęznący w mieszance cywilizacyjnej tracił personalizm i cieszył się, że urząd myśli za niego i obmyśla wszystko dla niego.

W ostatecznej dalekiej konsekwencji wyłaniała się z tego wyższość formy nad treścią, co stanowi zasadniczą cechę bizantyzmu. Wkrótce potem zjawily się w filozofii niemieckiej szczególne formalizmy...

III.

W tę mieszankę łacińsko-bizantyjską uderzyła pod koniec wojen napoleońskich idea narodowa, idea czysto łacińska. Wiek XIX niósł jeszcze drugą ideę, przeciwko wszelkiemu bizantyzmowi, mianowicie konstytucjonalizm, wyzwalanie społeczeństwa ze zbytniego nacisku więzów państwowych. Nastąpiło też w Niemczech wielkie ożywienie kierunku łacińskiego, lecz mimo wszystko przodownictwo pozostawało przy bizantyjskim.

Po kongresie wiedeńskim 1815 r. zaczęła się polityczna hegemonia Rosji nad Europą, mając trwać lat 37. Carowie wzięli monarchów zachodnich pod swą opiekę, gwarantując im utrzymanie władzy absolutnej przeciw rewolucjom politycznym. Obóz liberalny pałał przeto nienawiścią przeciw Rosji i tym tłumaczył się owacje, urządzone resztkom wojska polskiego, zdążającym w r. 1832 poprzez całe Niemcy do Francji i na emigracyjną

gościń. Pochód ten — zwany w piśmiennictwie niemieckim „tryumfalnym“ — posłużył znakomicie propagandzie obu idei, nowych dla Niemców. Szerzyły się one, lecz jeszcze około r. 1840 mamy świadectwa, jako Saksonia jest odrębną „ojczyzną“ i Hesja także, a tym bardziej Austria lub Prusy. Wielonarodowość cesarstwa austriackiego nie nasuwała innej myśli, jak tylko zabiegi germanizacyjne. Czasy Metternicha (1835—1848), to okres ciężkiego prześladowania nie tylko przyjaciół ustroju konstytucyjnego, ale również wyznawców jakiegokolwiek idei narodowej, czy to polskiej, czy też ogólnoniemieckiej.

Antagonizm Habsburgów i Hoherzollernów nie pochodził z cywilizacyjnych przeciwieństw, lecz wyłącznie ze współwzrostu państwowego. W r. 1848 jednakowo tłumili „wiosnę ludów“, która dotknęła zresztą Niemców tylko powierzchownie. Na pierwszy plan wysuwała się bowiem kwestia politycznego zjednoczenia Niemiec — a pod czym przewodem? Prusy próbowały wykluczyć Austrię z niemieckiego „państwa związkowego“ już w r. 1850, lecz dopiero w 16 lat potem nastąpił obrót radykalny: Austria pobita pod Sadową przestała należeć do Rzeszy.

Studiujący w owych latach sumiennie sprawy niemieckie Edgar Quinet stwierdzał wszędzie niedorozwój społeczeństwa, a przerosł państwowości. On pierwszy użył wyrażenia: bizantyzm niemiecki.

Wznagał się jednak ciągle prąd łaciński i to właśnie dzięki „wyrzuceniu Austrii z Niemiec“. Austria staje się siłą rzeczy antypruską. Dochodzi do tego, iż pojawia się program federacyjny i robi się przygotowania do koronacji cesarza Franciszka Józefa na króla czeskiego. Lecz gdy padło veto z Berlina, Wiedeń wycofał się. Została tylko autonomia Galicji i szczerze tym razem nadanie konstytucji. Niemcy austriaccy dzielą się od tam na dwa obozy, posiadające wybitne znaczenie cywilizacyjne. Przeciwnicy równouprawnienia narodów, centraliści, germanizatorzy zezują coraz bardziej w stronę Berlina.

Antoni Derkacz

Testament

Myśle, że takie być winno życie poety
wierszy z wszystkiego jak najmniej. Drzew tylko kilka u okien
ptaków chór, rodzinne stare portrety
damy w różowych mantylach we szpilkach srebrnych z kokiem
ze śladem przebytych dróg żołnierskie buty wysokie.

I wierność, koniecznie wierność
wodzowi do ostatniego wystrzału
księdzu do ostatniej karty mszału
ojcu przez wszystkie sny
matce od łzy do łzy
siostrze do grobowej deski
niosąc jeszcze im kwiatek niebieski.

I miłość koniecznie miłość
do Panny w złotej sukience
co w ostrej bramie świeci
do wszystkich małych dzieci
i do kościelnej sieni
gdzie proszą zamyśleni o łaskę co odmieni,
do babci pamięteczek, albumów i wstążeczek
a jeszcze i do powstań, ulanów i jesieni.

Spokojnie wojny witać
a w upał dla ochłody
wciąż o podróżnych pytać
wychodząc z kubkiem wody.

Ciesz się każdym szczęściem
modlić się z każdą różą
i zginąć zapomnianym najlepiej jakąś burzą.

Dwoistość Niemiec występuje coraz wyraźniej, lecz nie rozgranicza się bynajmniej geograficznie. W każdym kraju niemieckim widać się obie cywilizacje, skutkiem czego grubiała coraz bardziej ich mieszanka. Wydarzenia zaś polityczne nie sprzyjały kulturze niemiecko-łacińskiej. Era Bismarka stanowi tryumf niemieckiego bizantyzmu. On sam jest drugim obok Focjusza największym mężem dziejów cywilizacji bizantyjskiej wogóle. Zbierał też tryumf po tryumfie! po Sadowie Sedan i potem jeszcze kongres berliński! Staje się bożyszczem, przedmiotem kultu, któremu nie jeden miłośnik np. decentralizacji składał swe przekonania w ofierze. Szerokim warstwom zaś wydawało się najlepszym: być tych samych przekonania, co Bismark.

Rodziły się w mieszance potworki, jak np. „die preussisch-deutsche Nation“. Prusak zawsze przenośli Prusy nad całe Niemcy i nigdy nie dawał Niemcom pierwszeństwa przed Prusami. Kochał Niemcy pod warunkiem, że się całe sprusaczą. Niemcy poza prusactwem starowały dla niego jakąś drugą „Nation“, obcą. Szkoły historyczne Sybla i Treitschkego owijały całą historię niemiecką około pruskiej osi.

Katolicy wielbili Prusy za wskrzeszenie cesarstwa, któremu przypadała coraz widoczniej polityczna hegemonia Europy. Część ich jest typowo bizantyjska: byle nie naruszać dogmatów, wolno wszystko! Tej zasady trzymała się wrocławska kurya arcybiskupia względem Polaków, a w Niemczech środkowych nie brakło prałatów gotowych przyznać rządowi niemałą ingerencję w sprawy kościelne. Słynne „Centrum“ katolickie w parlamencie berlińskim było klasycznym przykładem niemieckiej dwoistości. Kiedy Bismark przegrał „kulturkampf“, powiedział słusznie, że „rząd poszedł do Canossy, ale Kościół niemiecki do Potsdamu“.

Nie ze wszystkim! Rozkwitał także katolicyzm głęboki i przyrzeczony bezwarunkowo do cywilizacji łacińskiej. Przewodnikami byli prezes długoletni Centrum,

Windthorst, następnie święty biskup Ketteler. Nastąpiło odrodzenie filozofii katolickiej, zaczęły też krytyka prusactwa stawała się coraz głębszą i wszechstronniejszą. Obóz łaciński potężniał, zdobył się nawet na wielki program polityczny. Konstanty Frantz w dziełach swych, ogłaszanych w latach 1857—1883, uważał całą przeszłość Niemiec za chybioną. Głosił, że Niemcy powinny utworzyć federację środkowo-europejską z narodów zupełnie równouprawnionych, do której z czasem musiałyby też przystąpić Zachód. Zapowiadał, że inacej runie od ciągłych wojen cały dorobek Europy i że nastąpi przewaga ekonomiczna Ameryki, a wojenno-polityczna Rosji.

Ścierały się coraz ostrzej dwa obozy dwoistych Niemiec. Powodzenie materialne i polityczne zaślepiało ogół. Zjawiało się w końcu samoubóstwienie: teoria rasizmu. Niemcy są zaś rasowo nadzwyczaj niejednolite (cztery rasy), toteż Wilhelm II zabronił publikacji niemieckiego atlasu antropologicznego. Geneza zaś tego rasizmu przykra, a boleśnie zabawna. W latach 1851—1855 wydał francuski dyplomata, Gobineau, cztery tomy swego rozgłośnego dzieła: Essai sur l'inégalité des races humaines, w którym wskazuje na Niemców, jako na przykład rasy podłej lub całkowitego braku rasy i nie przyznaje im żadnych zgoda walorów duchowych. W Stuttgardzie utworzył się jednak „Gobineau-Verein“, żeby szerzyć jego teorię rasową. Widocznie nikt nie przeczytał dzieła jego od deski do deski. Starczyła im teoria wyluszczonej w pierwszej części; uważali, jako rozumie się samo przez się, że się odnosi do Niemców! Wiadomo, do jakich aberracji posunął się potem rasizm.

Aberracja umysłowa niemiecka datuje od początku XX wieku. Przeciętny Niemiec nie był dokładnie cywilizowany, ani na tę stronę, ani na tamą. Żaden z dwóch obozów nie odnosił zwycięstwa stanowczego (jak bywało dawniej), a tymczasem urastała zarozumiała nadętość, ten niewątpliwie zwiaśtan obniżania się stanu umysłowego. Im szersze warstwy dochodziły do głosu, tym gwałtowniej objawiało się parcie w dwóch kierunkach przeciwnych, obok chorobliwej aktywności na chybił-trafił, byle według impulsów, pochodzących z wysokiego mniemania o sobie.

Dwoistość cywilizacyjna Niemiec, puszczona samopas na eksperymenty spaczonych głów, musiała wydać wyniki fatalne. Pomieszawszy obie cywilizacje do absurdum, spostrzegano nieraz ten absurd i... jęto się obmyślać dla Niemiec cywilizacje nowe. Jak gdyby cywilizacja mogła być sztuczna, aprioryczną, „planowaną“. Z kilku takich prób wyróżniała się najbardziej t. zw. Antroposofia, wymysł Rudolfa Stejnara. Cudowna mieszanka strzepów grozy, zmieszanej z istniami namiastkami buddyzmu (propagowana wśród oficerów garnizonu warszawskiego za piłsudczyzny!). Poszukiwano też nowej religii, stosownej dla Niemiec; powstało tam sekt bez porównania więcej, niż w Rosji.

Chaos umysłowy i dwie wojny powszechne!

Bizantyzm podupadł widocznie, lecz wcale nie na korzyść kultury łacińskoniemieckiej! Niemcy zostały dotknięte kołobędem cywilizacyjnym, którego ostatnim wynikiem — hitleryzm.

Jak ptactwo, gdy zatraci kierunek, kołuje samobójczo około latarni morskiej; jak woźnica w śnieżnej zawierusze jeździ wciąż około własnego domu, nie mogąc do niego trafić, aż w kołowaniu tym znajdzie śmierć — podobnież ludzie popadają w kołobęd duchowy, gdy tracą orientację pośród idei.

Nie można być cywilizowanym jednocześnie na dwa sposoby. Tak brzmi najwyższe prawo historii.

*

Uwagi powyższe pochodzą z namysłu przeszło dwudziestoletniego. Po raz pierwszy pisałem był o „bizantyzmie niemieckim“ w r. 1927 (w Przeglądzie Powszechnym) już po kilkoletnich studiach. Rozszerzałem je, nie ustaję w tej pracy, aż powstała dwutomowa „Cywilizacja bizantyjska“: tom I: Geneza; tom II: Ekspansja — wykończona podczas okupacji niemieckiej. Ponieważ atoli dzieło to obejmuje około 40 arkuszy druku, a zatem prawdopodobnie go się nie doczeka. Trzeba mi tedy wierzyć „na słowo“, że artykuł niniejszy nie jest improwizacją.



„...pod kierownictwem duchowieństwa, głównie w Prusach Zachodnich, ale także i na Śląsku, szerzono polskość z takim w Prusach Wschodnich rezultatem, że wnukowie dziadków, którzy niewątpliwie byli Niemcami, niemieckiego pochodzenia i noszący niemieckie nazwiska, nie wiedzieli już, że są Niemcami, nie umieli już mówić po niemiecku i uważali się za Polaków“.

(Z przemówienia kanclerza Bismarka w parlamencie berlińskim w dniu 3. 12. 1884 r.)

Władysław Błachut

Zagadnienie urzędnicze na Ziemniach Odzyskanych

Po upływie jednego roku od rozpoczęcia akcji przejmowania i zagospodarowywania przez Polskę Ziemi Odzyskanych, możemy z dumą mówić o tym, że w tym dziele na miarę pokoleń zrobiliśmy poważny krok naprzód, przerzucając na oczyszczone z Niemców słowiańskie ziemie blisko trzy miliony Polaków z centrum kraju i repatriantów z za Bugu, opanowując tam przemysł, handel, usprawniając transport, przejmując w polskie ręce gospodarstwa wiejskie i spychając pozostałych tam jeszcze Niemców do roli, jaka do niedawna była tam naszym udziałem, tj. do roli sił pomocniczych (Hilfskräfte) w stosunku do Polaków.

Niemniej musimy uprzytomnić sobie, że jesteśmy dopiero na początku uciążliwej drogi do wielkiego celu, że stoją tam jeszcze przed nami do rozwiązania ciężkie i ważne zadania, że czeka nas trud pracy twórczej, wymagającej od ludzi na tych ziemiach wielkiego entuzjazmu, samozaparcia i bezinteresowności.

W tym wielkim dziele najważniejsze zadania przypadają ludziom, zajmującym na zlecenie Państwa i władz, czy zrzeczeń publicznych, stanowiska zastępców i reprezentantów interesów państwowych, stróżów porządku i bezpieczeństwa i organizatorów życia społeczno-gospodarczego, czyli przedstawicielom administracji państwowej na tych terenach.

Z tego powodu w żywotnym interesie Narodu i Państwa leży, aby odpowiedzialne posterunki w służbie publicznej obejmował tam element pracowniczy naprawdę wartościowy, fachowo i etycznie stojący na wysokim poziomie, gdyż tylko taki aparat administracyjny potrafi się wywiązać należycie z ciężkich tam na nim, jak że trudnych, różnorodnych i specyficznych zadań, nie zawsze dających się pomieścić w ramach gotowych przepisów prawnych względnie utartych gdzie indziej szablonów.

Tymczasem dzisiejszy stan rzeczy, jakkolwiek różny w sensie dodatnim od stadium początkowej organizacji życia państwowego na tych terenach, pod względem doboru osób i należytej obsady stanowisk kierowniczych w służbie państwowej dużo jeszcze pozostawia tam do życzenia.

Wprawdzie pewne instytucje publiczne, jak np. Urzędy Ziemskie, Tymczasowe Zarządy Państwowe, różne Zjednoczenia Przemysłowe, Samopomocne Chłopskie i placówki spółdzielcze zasadniczo nie mogą się skarżyć na brak kandydatów do pracy na tych terenach, jednak — jak wiemy z licznych notatek w prasie i rozlepianych na kioskach ulicznych listów gończych Komisji specjalnej do walki z nadużyciami — zajmujący te posterunki element urzędniczy dość często pod względem moralnym zupełnie zawodzi, a pod względem fachowym na ogół nie dorasta do powierzonych mu zadań.

Stąd wniosek, że dostateczny ilościowo napływ kandydatów do pracy w tych instytucjach pochodzi stąd, że oprócz zasadniczo wyższych w stosunku do innych gałęzi administracji państw. uposażeń, dają one tym z pośród swych pracowników, którzy na Ziemiach Zachodnie udają się nie z pobudek ideowych, lecz w z góry powziętym zamiarze osobistego wzbogacenia się, większe „możliwości“ działania na własną korzyść, rzecz prosta ze szkoda, czasem bardzo znaczną (afery w T. Z. P. w Gliwicach, afera „tekstylna“ w Łodzi i Jeleniej Górze) dla Państwa.

Natomiast do pracy w t. zw. nieuprzywilejowanych (przydziałami, czy lepszymi warunkami pracy) instytucjach państwowych, jak Szkolnictwo, Poczta, Koleje, Skarbowość i t.p. na Ziemiach Odzyskanych daje się odczuć dotkliwy brak dobrowolnych kandydatów i zainteresowane władze państwowe muszą uciekać się do nie zawsze celowych zarządzeń przymusowych. Z ekspozycji premiera na X sesji K. R. N. dowiedzieliśmy się np., że na cztery tysiące szkół powszechnych Ziemiach Zachodnie zatrudniają zaledwie pięć tysięcy nauczycieli! — Skądinąd wiadomo, że z pośród tych pięciu tysięcy wielu nie

spełnia swych zadań, lecz przedstawiając świadectwa lekarskie, pobiera tylko uposażenia, a w międzyczasie szuka innych intratniejszych zajęć, rezygnując ostatecznie z zawodu nauczycielskiego.

Nadto, tak do pracy nauczycielskiej, jak i do innych nieuprzywilejowanych urzędów państwowych na Ziemiach Odzyskanych — oprócz dobrych Polaków i świadomych ideowców — przecieka z centrum Polski dość często element małowartościowy, nie przygotowany fachowo, niewyrobiony politycznie lub niepewny pod względem moralnym, który na starym miejscu został zdemaskowany i szuka szczęścia w nowym środowisku.

Przyczyny stwierdzonej wśród pracowników państwowych pewnej niechęci do pracy na Ziemiach Odzyskanych należy dopatrywać się w tym, że powołane władze państwowe do dziś dnia nie wszędzie potrafiły zorganizować należycie sprawy zaopatrzenia i mieszkania dla pracowników państwowych, delegowanych lub przenoszonych na Ziemi Odzyskane. Uposażenia w pewnych kategoriach służby publicznej nawet łącznie z 50 proc. dodatkami zachodnim nie gwarantują, wobec wyższych na ogół cen, pracownikowi państwowemu wyrwanemu ze środowiska, gdzie ułożył sobie warunki bytu lub miał pomoc rodziny, utrzymania się tam z rodziną, a przydział w naturze i zorganizowane stołówki nie zaspakajają bez reszty jego minimalnych pod tym względem potrzeb.

Marian Niewiarowski

Robotnik firmy Merckle

Pani Stefani Frenklowej.

Gdy wszedłem pierwszy raz do tego mieszkania, powiedziałem sobie. —

— Oto masz zemstę za wszystko, co przeżyłeś. Widzisz ten nieporządek? Tak zostawia mieszkanie człowiek, który ucieka. Widzisz — jeszcze w kuchni leżą niedomyte naczynia, a w kredensie resztki chleba. Tak wygląda kuchnia, gdy ją opuszcza ktoś w panicznym strachu. Czujesz w powietrzu zapach obcych ludzi? Pamiętasz?...

Nie, zapachu naszego domu już nie pamiętałem. Tyle lat — — tyle miast — — tyle obcych mieszkań — — tyle obcych ludzi. A tu jestem pierwszy raz w Niemczech i e c k i m, porzuconym domu, pierwszy raz po tylu latach będę spał pod kołdrą.

Dozorca podał mi klucz.

— Tu mieszkał przed tym jakiś inżynier. Widać katolik, bo i krzyż wisi, i obraz święty na ścianie. Niewiadomo, co był za jeden. Kto wie, może i wśród Niemców byli porządni. Pierwszy raz widzę Pana Jezusa w niemieckim domu...

Spojrzałem na klucz. To jest teraz moje mieszkanie. To jest teraz mój klucz. Dozorca już dawno poszedł, a ja stałem przy drzwiach, oglądałem klucz i było mi bardzo dziwnie. Włożyłem klucz do zamka, przekreśliłem, zamknąłem drzwi. Znowu przekreśliłem — drzwi otwarte. A na drzwiach kartka wizytowa:

Ing. FRIEDRICH HERBERT MERCKLE
Bauunternehmer
Oppeln - Katowitz.

Włożyłem klucz do kieszeni i zacząłem przechadzać się po mieszkaniu. Za każdym krokiem klucz poprzez cienki materiał spodni dotykał moich nóg. Było to rozkoszne uczucie.

Pierwszy raz okna jakiegoś domu świeciły się dla mnie. Światłem, które ja zapaliłem. Czekają mnie spokojne noce. Mogłem się kłaść spać bez obawy. Nikt już nie przyjdzie. Nie będzie pytał o dokument. Nie poprosi o ausweis. Skończyło się. Jestem panem siebie.

2.

— — — ...Bauunternehmer ...Tiefbauunternehmer ...Hoch-und-tiefbauunternehmer ...Merckle ...Merckle...

Z Warszawy można było bardzo łatwo uciec. Był upalny dzień czerwca, gdy zgłosiłem się do biura na Marszałkow-

Sprawa mieszkaniowa stanowi również zagadnienie palące, gdyż zdarzają się wypadki, że pracownik państwowy przez szereg miesięcy nie może uzyskać przydziału odpowiedniego mieszkania dla siebie i rodziny, lecz korzysta z wyznaczonej kwatery. To też ostrożniejszy pozostawia rodzinę na starym miejscu, a gdy następnie sprawa zdobycia mieszkania zbyt długo się przedłuża, czyni starania o powrót do dawnego miejsca służbowego lub rzuca pracę na Ziemiach Odzyskanych.

Rzecz zrozumiała, że w tych warunkach służba państwowa na terenach zachodnich przestaje być atrakcją a przeraża się dla zainteresowanych pracowników w twardą konieczność, której za wszelką cenę pragną uniknąć. Zagrożeni przeniesieniem symulują choroby, stając nieraz na długo w szeregu nieproduktywnych a opłacanych ze Skarbu Państwa jednostek, względnie uciekają się do interwencji Związków Zawodowych lub osób postronnych.

Wszystko to, rzecz zrozumiała, odbija się nader ujemnie na żywotnych interesach Narodu i Państwa, zainteresowanego w najwyższym stopniu w należytej i dostatecznej obsadzie stanowisk publicznych na repolonizowanych Ziemiach Odzyskanych.

Chcąc pod tym względem spowodować zmianę na lepsze — należy w pierwszym rzędzie zapewnić przenoszonym tam urzędnikom lepsze warunki bytu, a nadto premiować w jakiś sposób ich gotowość bezinteresownego służenia sprawie polskiej na tych ziemiach.

Wobec podwyżki uposażeń w przemyśle państwowym oraz wyższych kosztów utrzymania, trzeba również zatrudnionym na Ziemiach Zachodnich innym pracownikom państwowym przywrócić dawny 100 proc. dodatek do uposażeń, względnie wypłacać im — jak początkowo — t. zw. diety na koszty utrzymania. Dalej należy jak najszybciej dostarczyć im odpowiednich i „nie wyszabrowanych“ przez innych mieszkań, i w żadnym wypadku przydziału mieszkania nie anulować. Wreszcie zorganizować punktualny dowóz żywności i urządzić wspólne, lepiej zaopatrzone stołówki, a wreszcie zapewnić stałe i zwiększone przydziały żywnościowe i odzieżowe.

Tytułem premii za przeniesienie — należy nadto pracownikowi państwowemu, który tam należycie wywiązuje się ze swych obowiązków, — zapewnić szybkie możliwości awansowe oraz zagwarantować mu uprawnienia urlopowe, a w miarę możliwości, również uprawnienie do powrotu na stare miejsce służbowe, traktując pracę na terenach zachodnich nie jako przeniesienie, lecz jako t. zw. delegację służbową, która w myśl przepisów pragmatyk urzędniczych, nie może trwać dłużej niż 6 miesięcy.

Jestem pewny, że w takich warunkach na Ziemiach Zachodnie napłynie z własnej woli, bez przymusu, odpowiedni element pracowniczy i obejmie posterunki publiczne tak kierownicze, jak podwładne, bez celów ubocznych, wyłącznie w interesie Odrodzonej Ojczyzny.

— Najmocniej przepraszam, która teraz godzina? Odwróciłem się i machinalnie spojrzałem na zegarek.

— Dziesięć po czwartej.

Coś było w jego oczach. Ach, głupstwo, przywidziało mi się. Straszne, że jestem taki nieopanowany. Może zbyt pośpiesznie się odwróciłem? A może nie jestem ogolony? Dotknąłem ręką policzka...

Nieznajomy spojrzał na mnie i uśmiechając się przyjaźnie, poprosił o ogień. Podałem. Tak patrzył na mnie Obersturmbannwzrok. Czyje to oczy? Co to za spojrzenie? Nie mogłem w pierwszej chwili sobie przypomnieć, ale po chwili już wiedziałem. Tak patrzył na mnie Obersturmbannführer Wiese, gdy wracając z pracy, przyłożył łufę rewolweru do mego czoła i spytał: Was willst du noch mehr? To były zimne oczy, które przywykły celować w ludzi.

Nieznajomy zwrócił mi zapaliki z podziękowaniem. Tramwaj nie nadchodził. Wziąłem walizkę w rękę. Trzeba iść stąd. Pójdę w dół, do jakiejś kawiarni. Minąłem parę kawiarni. Zbyt eleganckie. Nad jedną z nich — hotel.

— Tak, będę tylko jeden dzień, przypuszczalnie wieczorem wyjadę. Jak przyjdę, to pani mnie zamelduje.

Szybko zamknąłem drzwi, otworzyłem walizkę, którą otrzymałem od Jurka, wyjąłem ubranie robocze, które mi dał Stefan jeszcze w Białymstoku. Zdjąłem ubranie — włożyłem konbinezon. Spodnie za długie — podwinąłem je i włożyłem do butów. Spojrzałem w lustro. Ach, ten nos — — i ta okrągła twarz. Czy miałem dobre, niebieskie.

A teraz trzeba wyjść, i to z walizką. Otworzyłem drzwi.

Z drugiego pokoju wyrzała jakaś zdziwiona twarz — Prędko, nie oglądając się, — zszedłem po schodach na dół. Do biura, jak najprędzej do biura, tam leżą moje dokumenty, już może być za późno — trzeba jechać, jaknajprędzej wyjechać stąd... —

Gdy wyszedłem za bramę, była już wpół do piątej.

Szedłem szybko, bojąc się spóźnić na transport. Czy znowu będę się czymś odróżniał? Stałem przed jakimś oknem wystawowym. Ciemnogranatowy — roboczy konbinezon, twarz ogolona, trochę za grubą...

Uczułem na sobie czyjś wzrok, który mnie przesywa, niczem jadowita szpilka.

Obok stał nieznamy, z papierosem w ustach...

Zdawało mi się, że uśmiechnął się do mnie.

3.

Teraz wiedziałem, że nie ma wyjścia. Nieznajomy trzymał jedną rękę w kieszeni, ja ciągle oglądałem wystawę. Czułem, jak napływa mi gorąca krew do twarzy. Nagle zrobiło mi się znów zimno. Cóż to za uczucie? Ach, pamiętam. Tak samo było, gdy do mego pokoju wszedł pierwszy raz Koch, ten wysoki żandarm.

Jedna, jedyna myśl — nie dać się zabić bez walki. Nie dać się zabić, jak ci wszyscy, którzy poszli przede mną prosto do wagonów.

A jednak — czułem, że ulegnę. Byłem zmęczony. Nie starczyło już sił. Już teraz było mi wszystko jedno. Byle prędzej, byle bezboleśniej.

W oknie wystawowym leżały paczki kawy „Enrilo”, cukierki, delikatesy. Z lewej strony stała waza od herbaty. Von Cook & Co, Amsterdam. Emaliowana z jakimś obrazem. Skąd znam tę wazę?...

Taką samą mieliśmy w domu. Stała w kuchni, na kredensie. Często ją oglądałem — było na niej jakieś malowidło, kopia jakiegoś obrazu holenderskiego malarza. Śpiący myśliwy, oparty plecami o drzewo. Obok skacze wesoło zając. Słońce zachodzi, z daleka widać parę saren. Błękitne niebo, chmurki — całe dzieciństwo stanęło mi nagle przed oczyma. To brat zawsze był winien. To on rozbili wazę, a ja dostałem klapsy. Plakałem po tym, a mama żałując, że mnie uderzyła, też płakała. Nie wybaczyłem nigdy bratu tej wazy. Znalazłem ją potem rozbitym na podwórku, zaniósłem do domu, sklepiłem i znowu stała na kredensie. A myśliwemu domalowałem okulary.

A potem rozbili nam cały dom i nie było już całej rzeczy w naszym mieszkaniu. Gdy oglądałem je ostatni raz — biblioteka moja walała się na ziemi, wszystkie książki były rozdarte w strzępy, zeszyty i broszury porzucane i podarte, bielizna i pierze rozrzucone po całym mieszkaniu. Fortepian — taki czarny, długi jeszcze carski fortepian — rozbity w druzginy, biurko połamane, łózka wyniesione, tapety zdarte ze ścian, obrazy zdjęte i potłuczone, fotografie ojczyzna i matki, dziadka i babki, a na nich brud i kał. Dwa dni byli tu Niemcy. Żegnałem ten dom na zawsze i odchodząc stąd, przeczuwałem, że już nigdy nie wrócę...

Teraz wiem, że nie wrócę nigdy.

Matkę widziałem ostatni raz z daleka, idącą w pochodzie do wagonów. Machała do mnie ręką. Miała na sobie płaszcz w prążki, chustkę na głowie. Była straszliwie chuda. Z ojczymem rozstałem się, będąc jeszcze w domu, już za drutami. Leżał wyciągnięty na łóżku, cały spuchnięty, błady i spokojny. Nie chciał iść do wagonów. Umierał z głodu i wycieńczenia. Dobili go Niemcy, wystrzelał z automatu, w łóżku... Z siostrą rozstałem się, kiedy już prawie nikogo nie było. Wrzucili ją do studni w Kiebasinie. Miała trzynastę lat i była bardzo ładna. Brata zabili jeszcze w pierwszych tygodniach.

A teraz zostałem sam i trzeba było się rozstać ze wszystkim co żyje. I z widokiem tej oto przechodzącej przystojnej pani w złotych pończochach i złotym bleserze, i z tym oto przechodzącym panem, prowadzącym śmieszne pieska na smyczy. Trzeba było się rozstać ze wszystkim, co przechodziło obok mnie i co kiedy miało jeszcze przechodzić. I z tym oto kombinezonem, który noszę na sobie, i z dokumentami, które zostały w biurze. Trzeba było się pożegnać ze słońcem, które tak niemiłosiernie prażyło w Warszawie i z tą dziwną ulicą i dziwnym domem, w którym się dotychczas ukrywałem...

Odwrociłem się i uniknąłem spojrzenia nieznanego. Tak, to ten sam. Pójdzie na pewno za mną.

Już wchodziłem na schody na Marszałkowskiej 58, gdy w ciemnym korytarzu, wiodącym na górne piętro usłyszałem za sobą kroki i potem, jak gdyby wyjęte z powieści Dumasa słowa rzucone szeptem:

— Proszę natychmiast podnieść rękę do góry. Ani słowa, bo będę strzelał!...

Odwrociłem się — ucułem wyraźnie na piersi lufę rewolweru i widziałem jego oczy. Postawiłem walizkę na ziemię, podniosłem rękę do góry i uśmiechnąłem się. Ujrzałem pogodnego księcia z opowieści Conrada, który w samym centrum miasta, w foyer sali koncertowej znalazł się w podobnej sytuacji. Była tak beznadziejna, że aż śmieszna.

Lewa ręka nieznanego wsunięta do kieszeni mego kombinezonu nie znalazła nic. Obmacała wszystkie kieszenie — nie znalazła nic.

— Gdzie masz dokumenty?

Chwila błyskawicznej decyzji.

— Nie mam żadnych.

— Jakto?

— Nie mam dokumentów. Zresztą mógłbym o to samo pana zapytać.

— A co, to ci nie wystarczy? — podsunął mi pod nos lufę rewolweru. Ujrzałem obersturmfuehrera Wiesego — was willst du noch mehr?

— Nie, to mi nie wystarczy.

Odsunął klapę marynarki. Z tryumfalnym uśmiechem:

— A to?

Jakiś znaczek, hackenkreuz z literami na czerwonej szmatce.

— Ah, teraz rozumiem. Wystarczy.

— Skąd przyjechałeś?

— Z Wilna.

— Jakto? Z Wilna bez dokumentów?

— Tak, Tam tak nie sprawdzają.

— Masz pieniądze?

— Nie, nie mam.

— Jakto? Nie masz pieniędzy?

— Wydałem wszystko na podróż.

— Co masz w walizce?

— Niech pan otworzy.

— Antek! — Na ciemnej plamie schodów ukazał się granatowy z błyszczącymi guzikami, który widocznie czekał w bramie na czatach. — Otwórz tę walizkę, a ja go przeszukam.

Dokładna rewizja, obmacywanie. Nie ma nic.

— Co za cholera? Dokumentów nie ma, forsy nie ma. Czym jesteś z zawodu?

— Student? Student z Wilna — granatowy podniósł się z nad walizki. — To chyba jakiś hrabia. Hrabia bez forsy. Goły Turek.

Rozległ się śmiech.

— Chodź pan na kripo.

Weszliśmy z ciemnego korytarzyka i stanęliśmy na schodach. Granatowy zwrócił walizkę i zeszedł na dół, do bramy. Z okna padało światło prosto na nas.

Trzeba tylko wytrzymać wzrok. Nie zdradzić się oczyma. Puści — i wówczas dam sobie znowu radę. Ale on patrzył uporczywie w moje oczy. Miałem niebieskie i widziałem, że ich kolor nie zdradzi mnie. Ale wyraz, wyraz — to fatalne spojrzenie. On też miał niebieskie oczy, ale jego były stalowe, zimne, wyrachowane. A moje przeciwnie — były ciepłe, lękliwe, przestraszone...

Wymiana spojrzeń trwała nie więcej jak parę sekund.

— Zdejm spodnie!

Odpiałem pas.

Chwila macania.

— Ach, ty parszywy żydzie! Uderzenie w szczękę zważyło mnie na stopień schodów. Podniosłem się, dotknąłem nosa. Ciekła krew. Miałem zawsze słaby nos.

— Antek! — w głosie tkwiła odkrywcza radość. Podkute buty zbliżyły się do schodów — to gudy jakis.

— A to skurwysyn! On na pewno gdzieś ukrył forsy u znajomych. Daj mu w mordę!

Jeszcze jedno uderzenie, tym razem mocniejsze. Usiadłem na schodach, krew ciekła mi na kombinezon, spinałem pas. Pamiętałem dobrze, najgorzej bolał uderzenia między nogi. Żeby tylko tam nie uderzył. Stracę przytomność — wiedziałem o tym dobrze — i nie będę mógł przez kilka godzin ani leżeć, ani chodzić...

— Zabierz mu zegarek.

Nieznajomy podszedł do mnie, zdjął zegarek z ręki.

To Tissot, ale lichy. Będzie z parę kawałków. Spójrz mu w gębę, może ma złote zęby.

Trzymałem silnie ząb w prawej ręce. Jeżeli wszystko zabiorą, to zawsze zostanie ten ząb. Po sprzedaniu — na pierwsze dni wystarczy.

Granatowy podszedł bliżej.

— Otwórz gębę!

Otworzyłem szeroko usta. Nachylił się nade mną, spojrział w usta, wsunął palec, dotknął prawego dziąsła, pomacał.

— Nie ma.

Podszedł do okna, wyjął chusteczkę, otarł ręce. Odwrócił się:

— Co się będziesz z nim cackał. Wykończ go i już. Nieznajomy ułożył wszystkie rzeczy w walizce, zdjął ze mnie płaszcz.

— Wstań, schodź na dół.

Zeszliśmy na dół. Ja w środku, z obu stron oni. Wyglądaliśmy jak trójka dobrych znajomych, którzy właśnie wyszli z knajpy i prowadzą pod ręką trochę podchmielonego kolegę.

Weszliśmy na Koszykową. Gwarna i ruchliwa ulica. Chyba tu nie wykończą?...

— Panie — odezwał się do nieznanego — jak pan będzie strzelał, to niech pan strzela z tyłu, tak żebym nie widział, bo to cholernie nieprzyjemnie. Ja się odwrócę sam, po mnie i tak nikt nie zapłaci — niech pan zrobi tak jak ja pana proszę.

— Co on gada? — odezwał się granatowy.

— Chce, żebym go kropnął z tyłu.

— Widzisz go! A to dopiero żydziuka! Jeszcze będzie wybierał!

Zbliżyliśmy się, aż do pierwszej poprzecznej Koszykowej, gdy granatowy zatrzymał jakiś wysoki facet.

— Czołem Antek! Kawał czasu! Co słychać? Zatrzymali się, ja z nieznanym poszedłem dalej. Weszliśmy do jakiejś bramy.

— Tu będzie dobrze — powiedziałem — nikogo nie ma. Kropnie z tyłu i skończono.

Otworzyły się drzwi, wyszła baba z koszem. Na podwórku przed korytarzem za-

częła rozwieszać bieliznę na drewnianym stojaku.

Nie, tu nie będzie dobrze — rzekł nieznamy. — Kurwa, zachciało jej się teraz bieliznę wieszać. Chodź gdzieindziej.

— No to gdzie? — spytałem, trochę zdenerwowany odkładaniem.

— Cicho, bo walnę w mordę! Mało miałeś? Nie twoja rzecz! Kropnę gdzie ja chcę.

Wyszliśmy z podwórka. Parę kroków przed nami szedł granatowy z drugim facetem.

— Antek, chodź tu na sekundę. Granatowy odwrócił się, spojrział na mnie.

— Co? Jeszcze żyje?

Zbliżył się trzeci:

— Co? Tego szczeniaka macie kropnąć? Dajcie go na Szucha i po kłopocie.

— Wszystko jedno — odrzekłem — Aleja Szucha — Koszykowa. Jaka różnica. Ja już mam dość tego wszystkiego. Nieboszczyk na raty. Z całego miasta nikt nie został. Mogę i ja również nie być. Co mi tam...

Nieznajomy spojrział na faceta, facet na granatowego, granatowy na mnie. Uśmiechnął się drwiąco:

— Chodź na Szucha. Tam wszystko wyśpiewasz. Poszliśmy dalej Koszykową. Mnie prowadził nieznamy, trzymając mnie dla niepoznaki pod rękę. Lewą rękę trzymał w kieszeni.

Idziemy dalej, a ja nie wiem jak daleko mam do Szucha. Od Funi słyszałem wszystko i wiedziałem, że to koniec. Ale jak to jest daleko? Nie orientowałem się dobrze w Warszawie i nie byłem nigdy w tej dzielnicy.

— Proszę pana — mówię, idąc obok nieznanego — jeżeli pan jest katolik, jeżeli pan ma Boga w sercu, niech pan mnie zastrzeli od razu, niech pan nie prowadzi mnie na Szucha. Przecież to panu nie robi żadnej różnicy, dla mnie to ważne, bo nie chcę się przed tym mężczyzną.

— Nic nie gadaj, nie twoja rzecz. Tam wszystko wyśpiewasz i powiesz u kogoś się ukrywał. Będiesz mnie tu bujał...

Idziemy dalej. Pożno — myślę — już chyba nie zdąży na pociąg. Co za dziwny przypadek, żeby po tylu tułaczkach, na godzinę przed wyjazdem nagle wpaść w Warszawie i umrzeć w taki piękny, słoneczny dzień.

(Dokończenie w następnym numerze)

W najbliższym czasie ukaże się wydawnictwo Instytutu Śląskiego

Historia Śląska w zarysie

(stron 450)

w opracowaniu profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego

dra Kazimierza Piwarskiego

Będzie to pierwsze w języku polskim opracowanie całości Ziemi Śląskiej. — Cena katalogowa po wyjściu z druku wynosić będzie 350,— zł. Książkę tę można zamawiać po niższej cenie 220,— złotych przez wpłacenie tej kwoty na konto Inst. Śląskiego PKO Nr III-5002, lub w dziale wydawnictw Instytutu Śląskiego — Katowice, ul. Warszawska 37 i Wrocław, plac Uniwersytecki 7. — Zamówienia po niższej cenie przyjmuje się do dnia 30 września br. (PAP) 79

Edward Benesz

Demokracja w kręgu prawd innych

Czechosłowacja, państwo, które bodajże najszybciej podnosi się z dezorganizacji wojennej, postawiła na swoim cele pomimo głębokich przemian politycznych i społecznych ponownie dr. Benesza. Jest to człowiek, który cieszy się bezwzględnym zaufaniem całego narodu. Jest on doskonałym politykiem, a także filozofem, teoretykiem. Poniżej kilka jego uwag na temat demokracji.

Polityka ma być nauką i sztuką, opierającą się zawsze na pewnej filozofii i etyce, na pewnym filozoficznym i moralnym pojęciu całego życia indywidualnego i społecznego.

Demokratyczna polityka, jako nauka, bada w swej funkcji, jakie są współczesne warunki człowieka i społeczeństwa, w którym żyje; przy pomocy specjalnych nauk, zwłaszcza nauk społecznych (prawa, ekonomii, historii, geografii itd.) studiuje obecny stan jednostki i jej stosunek do społeczeństwa oraz całego otoczenia, pyta się i rozważa, co jest prawidłowe, systematyczne i trwałe w danym społeczeństwie i rejestruje to, jako istniejące fakty naukowe. Przy tym, będąc nauką, musi demokratyczna polityka patrzeć na społeczeństwo i świat obiektywnie, musi szukać rzeczywistości obiektywnej prawdy, musi analizować społeczeństwo nawskroś bezstronnie, naukowo i musi je, że tak powiem, ciąć za żywa. Polityk, jako nauko-

wiec, miałby się więc zajmować bardzo starannie i sumiennie wszystkimi naukami politycznymi i socjalnymi, filozofią i psychologią, a do pewnego stopnia również biologią, powinienby mieć poczucie metody naukowej, a zwłaszcza pełnej naukowej obiektywności przy swoim codziennym badaniu tego, „jaka jest polityczna sytuacja“, a naturalnie musi umieć używać w pełni i rozważnie analitycznych właściwości, jakimi odznacza się dojrzały rozum ludzki.

Polityka nie jest jednak tylko nauką, jest również sztuką, a według niektórych jest nawet królową wszystkich sztuk. Polityk — jak każdy artysta — tworzy. W swojej politycznej działalności stara się prowadzić społeczeństwo ku nowym celom, stary stan przeobrazić i zmienić, dawać nowe wyrazy i formy swojemu ludzkiemu i społecznemu tworzywom, które obejmuje wszystko, o czym było powiedziane, że jest przedmiotem socjologii i polityki, jako nauki, to znaczy życiu społecznemu w jego przejawach duchowych, moralnych, prawnych, socjalnych, gospodarczych itd. Czyny to zupełnie tak samo, jak rzeźbiarz, który daje rozmaite kształty swemu tworzywom — tworzy w glinie, w

gipsie, w drzewie, w metalu, czy w marmurze. Polityk, jako artysta, wkłada do owej materii czy materiału, z którego utworzone jest życie społeczne, swego ducha, swe myśli i poglądy, swe plany, swe uczucia, życzenia, swoją indywidualność, poprostu samego siebie. Chce wytworzyć ze społeczeństwa świat taki, jak sobie go sam przedstawia. Polityk, jako uczonec, dochodzi, studiuje, bada i szuka, jaka jest istniejąca już rzeczywistość. Polityk, jako artysta, obrabia, formuje i przeobraża to, co jest — w coś, co uważa za słuszne, konieczne i dobre dla dalszego pomyślnego rozwoju państwa i społeczeństwa, czyli w to, co by powinno być. Każda twórczość wymaga jednak wyobraźni. Bez prawdziwej zdolności imaginacyjnej, kombinacyjnej i syntetycznej nie może więc polityk tworzyć z powodzeniem swej nowej społecznej rzeczywistości.

Oprócz tego musi być polityk-naukowiec prawdziwym psychologiem zarówno w teorii, jak i w praktyce, aby, jak się popularnie mówi, „umiał się w tym obracać“. Z psychologicznej teorii powinien wiedzieć wszystko, co główne i podstawowe. Co się dotyczy praktyki, musi mieć polityk wrodzony talent dla psychologicznej obserwacji, dla zrozumienia i wzięcia się w duszę innych, dla rychłego poznania człowieka we wszystkich jego duchowych procesach i skłonnościach. Tego wszak nie można osiągnąć bez swego własnego, praktycznego, życiowego doświadczenia, a tego

Kronika słowiańska

Niemcy o zainteresowaniach polskich sprawą łużycką

Wychodzący w Berlinie (w strefie francuskiej) dziennik niemiecki „Der Kurier“ podaje w numerze z 30. lipca pod tytułem „Łużycka Rada Narodowa“ — „Dążenia niepodległościowe wendyjskich lasów nad Szprewą“ (!) (dosłownie: „der wendischen Spreewälder“) dłuższą notatkę poświęconą zainteresowaniom, jakie ostatnio w Polsce wzbudza sprawa łużycka. „Der Kurier“ umieszcza przede wszystkim wiadomość Associated Press z Warszawy, że „przedstawiciel Łużyckiej Rady Narodowej“ w Warszawie stara się o poparcie wszystkich Słowian jak również i Zjednoczonych Narodów dla dążeń niepodległościowych Łużyczan. Wiadomość zaopatrzona jest w objaśnienie, że „Łużyce, tak nazwane według jednego ze starych plemion słowiańskich były od dziesięciu wieków pod władzą pięciu rozmaitych krajów“.

Z kolei „Der Kurier“ umieszcza w dalszym ciągu pod powyższą notatką „własne sprawozdanie“ z Krakowa, zatytułowane „Towarzystwo Przyjaciół“ (w oryginale „Die Gesellschaft der Freunde“ — tytuł w oryginale w cudzysłowie, który nadaje temu nieco złośliwości). Sprawozdanie to podaje, że Towarzystwo Przyjaciół Łużyc w Krakowie zwróciło się do Łużyckiej Rady Narodowej, „która uważa się za tymczasowy parlament tego obszaru“ z memoriałem podpisanym przez „wszystkie sławistyczne stowarzyszenia Krakowa“, w którym wysuwa żądanie uznania przez konferencję w Paryżu „pełnej narodowej niepodległości Łużyczan“. Memoriał postuluje dalej — jak pisze „Der Kurier“ — oddanie w obszarze budziszynskim administracji do rąk Łużyczan, wyznaczenie przedstawiciela polskiego do Budziszyna, przyjęcie Łużyczan do ONZ i danie im prawa wypowiedzenia się o swym przyszłym ustroju. Według tego memoriału rząd polski ma w kategorii formy domagać się od konferencji pokójowej „pozytywnego rozwiązania zagadnienia łużyckiego“, w sensie utworzenia nowej, oczyszczonej od Niemców jednostki państwowej. Gdyby ten plan nie był przyjęty przez Radę Bezpieczeństwa i Konferencję Pokojową, powstałaby wielka szkoda i dowodziłoby to „całkowicie o braku słowiańskiej solidarności“. Niemiecka brama wypadowa na Łużycach ma się stać „przyczółkiem dla Czechów i Polaków“.

Obie powyższe notatki, wiadomość Associated Press i „własna“ wiadomość z Krakowa (czy niemieckie pismo ma na prawdę korespondenta w Krakowie i kto nim jest?) zaopatruje „Der Kurier“ w dłuższe własne omówienie podpisane „K. L.“ a zatytułowane „Przyczółek“ i brzmiące, jak następuje:

„Wśród polskiego społeczeństwa od szeregu tygodni prowadzona jest szeroka propaganda za żądaniami Łużyc. Raz się mówi o 200.000 Wendów, zamieszkujących obszar 8000 km kwadr., innym razem znów o 500.000 zamieszkujących obszar dużo szerszy sięgający aż po Berlin. W reportażach wielu dzienników i czasopism mowa jest o stosunkach na Łużycach, gdzie rzekomo po załamaniu się Niemiec nic się nie zmieniło i stawiane jest pytanie, jak długo jeszcze ten „ostatni protektorat“ i „rządy niemieckie“ w „słowiańskim kraju“ (cudzysłowy „Der Kurier“) trwać jeszcze będą. Z entuzjazmem pisze się o przedłożonym w Paryżu memoriale Łużyczan. Ta propaganda robi wrażenie części akcji zmierzającej do dalszego przesuwania granic polskich na Zachód. Gdy ustanowiona została granica na Nysie i Odrze uważano ją za idealną i wieczną granicę między Niemcami a Słowianami. Obecnie już została przekroczona pod Szczecinem.

Bronisław Król

Nad Odrą czuwa straż

Moje kroki w zwycięski rozrosły się pochód,
horyzont napiął w oczach czujny, celny łuk,
jeszcze płonie na wargach smak ognia i prochu,
jeszcze tętni w kolanach żar zdobytych dróg.

Na karabinie rosą pisze noc i księżyc
i ciszę chwytą w zęby zimnej lufy błysk.
Gdzieś, pod tą samą ciszą brat i ojciec leży
i powrót ich przekreśla głuchy, niemy krzyż.

Nic to, Ja stoję mocno i wzrok mój jest celny,
na mój krok tutaj milion składało się nóg.
Nie zastępną na wargach hymny pogorzeliś
i nie zażgnie w kolanach żar zdobytych dróg.

Zachód

Właściwie nic. To wartki śmigiel obrót
przesuwa dołem smukłą taśmę Odry.

Z tysięcy rąk o twardych, grubych ścięgnach.
odpłynął znowu statek pełen węgla.

Ze statku burt, zakotwiczony rzeką,
stygającym słońcem brzeg powoli ścieka.

Zachodu brzask rozpala wody czerwien —
płonącą Odrę wiezie morzu węgiel.

I więcej nic. Nie powie rzeka mądra,
czy płynie krwią, czy w niebie się przegląda.

nie można się nigdy nauczyć w zupełności z książek. Powtarzam: żadnej wielkiej polityki nie tworzy się i nie mogło się tworzyć bez polityków, którzy by nie byli równocześnie doskonałymi psychologami i prawdziwymi, doświadczeniymi, praktycznymi znawcami ludzi.

Wreszcie polityk jest i powinien być filozofem, a jego polityka ma być filozofią. Polityk, jako uczyony, odnajduje charakter socjalnej rzeczywistości, analizuje ją, definiuje, stwierdza, co jest, co istnieje. Jako artysta przygotowuje i powoduje zmiany tego, co istnieje, daną socjalną rzeczywistość przysposabia do nowego rozwoju, pomaga swoją pracą przy tym rozwoju i wytycza mu dalszy kierunek na przyszłość. Jako filozof, a szczególnie jako filozof historii i moralista, musi szukać i uzasadniać, w jakim kierunku i jakimi środkami, materialnymi czy duchowymi, ideowymi czy praktycznymi ma zmiany w politycznym i socjalnym życiu powodować i uskuteczniać.

I zaraz przypominam: Być w polityce naukowcem, filozofem i moralistą oznacza mieć stałe i jasne, naukowo i moralnie uzasadnione przekonania, bronić ich konsekwentnie i dostojnie, mieć stały, niechwytliwy, żelazny charakter, to znaczy nie bać się być dzielnym i uczciwym, obiektywnym, nie egoistycznym, nie namiętnym a również cierpliwym. To oznacza, że demokratyczny polityk nie powinien być próżnym, powierzchownym oportunistą

albo cynicznym lizunem, nie powinien on być wyznawcą powierzchownego machiawelizmu i lekkomyślnego hazarderstwa, nie powinien być demagogiem, który szuka chwilowego sukcesu na drodze schlebiana masom i idzie za każdą nową i chwilową falą opinii publicznej albo za prądem przejściowej, naglej albo gwałtownej przemiany, nie powinien to być człowiek wyrachowany, idący bez charakteru dzisiaj, jutro inną drogą za osobistym czy partyjnym interesem i sukcesem. Tu polityka przechodzi do praktycznej filozofii i etyki: demokratyczna polityka musi być etyczna, musi mieć moralne podstawy, a demokratyczny polityk musi być moralną jednostką.

Demokratyczny polityk stoi bowiem, jako uczyony, artysta i filozof, a rozdrożony współczesności i szuka drogi ku przyszłości. Musi nie tylko na podstawie informacji i analizy współczesnej sytuacji, ale również pod wpływem intuicji i wiedzy, wypływającej ze znajomości wszystkich problemów życia publicznego, wiedzieć — mając stałe na myśli polityczny cel, zdefiniowany w terminach filozofii, historii i etyki — co jest jego doczesnym, a co ostatecznym celem. Swą polityczną wiedzę i sztuką ma rozpoznać, jak dalece, w jakim kierunku i za jaką cenę może czy powinien nadać przyszły kształt tej czy owej rzeczy, w tej czy owej chwili. Czyli, innymi słowem, musi umieć rozpoznać, co

Według pewnych wiadomości mieli rzekomo polscy mężowie stanu podczas ich ostatniej wizyty w Moskwie żądać rozszerzenia stanowiska Polski w rejonie szczecińskim. Łużyce byłyby drugim miejscem, gdzie przełamana została linia Odry i Nysy. Z tego może już dalej powstać dążenie do „zaokrąglenia“ obszaru między obu „przyczółkami“. Przyjmijmy raz, że dojdzie do wdarcia się w obszar między Odrą a Łabą poprzez Szczecin i Łużyce. W pozostałych Niemczech, którym się stawia jeszcze inne żądania graniczne, nie będzie już żadnych możliwości życia dla narodu niemieckiego. Pod tym względem paryska konferencja, która dotąd zajmowała się tylko granicami na Zachodzie, będzie miała dużo kłopotu. Problem jest zresztą zupełnie bez wyjścia, gdy teraz jeszcze nowe żądania postawione są na Zachodzie, już po przekazaniu wielkich niemieckich prowincji polskiej administracji“ (Jr.)

Kronika kulturalna Pomorza Zachodniego

TEATR

W Szczecinie Melpomena błąka się nieco po bezdrożu. Rozpoczęty bowiem z rozmachem i wielkim nakładem pracy ruch teatralny, zapoczątkowany otwarciem Teatru Polskiego przez dyr. Skąpskiego, napotkał nieoczekiwane na przeszkodę w postaci... nowego zespołu i nowego dyrektora, mianowanego nieoczekiwanie przez Warszawę. Rozegrał się więc nagle dramat, który kosztuje dużo pieniędzy i nerwów obie strony, a Szczecinowi grozi tym, że może utracić teatr, a „zyskać“... rewiew, którą reprezentuje strona, wysunięta przez Warszawę. W ogóle Szczecin nie ma szczęścia do życia kulturalnego. Zamiast przyciągać ludzi nauki i sztuki, odstrasza ich intrygamami ludzi małych, którzy wykorzystując geograficzną odległość Szczecina budują tutaj wszelkimi sposobami kramiki dla swojej wielkości. Jeśli chodzi o teatr, to sprawa stanęła na razie na tym, że do 1 września ma prowadzić Teatr Polski w Szczecinie dyr. Skąpski. Trzeba przyznać, że kierownictwo Teatru Polskiego stara się dać publiczności urozmaicony program i jak najczystsze premiery. Obecnie wystawia Teatr Polski „Roxy“, skompletowany zespół teatralny szczeciński z częścią wrocławskiego — Zaklicką, Bracką, Łodzińską i Possartem, którzy przybyli na gościnne występy. „Roxy“ cieszy się niesłabnącym powodzeniem. Z zespołu wyróżnia się przede wszystkim p. Zaklicka w roli głównej i p. Łodziński jako p. Harrington. W Teatrze Małym w Szczecinie wystawia się Niewiarowicza „Gdzie diabeł nie może“. Podobno jest to pierwsze udane przedstawienie tego, na pół amatorskiego teatru.

Z innych miast Pomorza Zachodniego najwięcej ruchliwości wykazuje Koszalin, gdzie czynny jest Teatr Okręgowy Domu Żołnierza. Teatr ten wystawił w Koszalinie oraz okolicznych miasteczkach „Moralność pani Dulskiej“ Zapolskiej, Bałuckiego „Rady pana radcy“ oraz 3-aktową sztukę Fl. Biełkowskiej „Wiosna 1944“. O ile jednak dwie pierwsze sztuki cieszyły się powodzeniem, to „Wiosna 1944“ robiła wrażenie, że aktorzy sami nie rozumieją sztuki.

Błądząca po Pomorzu Zachodnim, Melpomena schodzi w różnych miasteczkach tego regionu na deski amatorskich teatrów do roli ubogiej krewniej. I tak np. Zespół Artystów Widowiskowych dał w Koszalinie występ, w którym oprócz normalnych sztuk akrobacyjnych i żonglerskich wystawiono nienormalne skecze, w których aktorzy rozbierali się na scenie i kazały się podziwiać w negliżu tym panom z „Zaiku“, którzy dali licencję na tego rodzaju przedstawienie. (ts)

MUZYKA

Na odcinku muzycznym zaobserwować można w ubiegłym miesiącu pewien postęp, co prawda nie tyle wzniosły, co wszęd. Uwidacznia się on w coraz większym upowszechnianiu muzyki, dzięki licznym imprezom muzycznym oraz w mobilizowaniu fachowców z tej dziedziny. Z kilku koncertów szczecińskich najlepszy był koncert solistów w wykonaniu prof. Konatkowskiej (fortepian) oraz Massalskiej (śpiew). W Teatrze Polskim zobaczyliśmy ciekawy balet klasyczny w wykonaniu Bittnerówny i Kaplińskiego (szczególnie kujawiak i kaszubka). Ale i muza śpiewu musi potykać się na Pomorzu Zachodnim. Takim kulawym występem o kompromitującym charakterze był „Wieczór pieśni“ pewnej śpiewaczki w Koszalinie. Wystąpiła ona z poważnym repertuarem — naturalnie Gounod, Lehar, Krupniński — jednakże już po wejściu na estradę dostała ona tak wielkiej tremy, że ledwie mogła wydobyć z siebie głos. Parodia śpiewu, obudzila wśród stosunkowo licznej publiczności huragany śmiechu, w rezultacie czego publiczność poczęła wychodzić, polecając śpiewaczkę opiece miejscowego starosty, który bez zasięgnięcia opinii odpowiedniego referenta kultury i sztuki wydał zezwolenie na występ. (ts)

KANIKUŁA W LITERATURZE I RADIU

W obu tych dziedzinach po okresie dużej ruchliwości nastąpiła kanikuła, spowodowana zwłaszcza w Klubie Literacko-Artystycznym urlopami pracowników. Klub literacko-artystyczny urządził w okresie letnim tylko jeden wieczór, tym razem lżejszego charakteru pt. „Parada śmiechu“. Radio szczecińskie natomiast włączył jeszcze nie może zdobyć się na własny, a przede wszystkim oryginalny pod względem regionalnym program. Próba np. stworzenia „Wesołej Fali Szczecińskiej“ speliła na niczym. Jedno oryginalne słuchowisko W. Lachnitta pt. „Chrząst Szczecina“ za cały okres letni, nie ratuje sytuacji. (ts)

CHORA PLASTYKA

Jest to najbardziej wstydliva dziedzina sztuki w Szczecinie. Przechodzi ona zapewne jakąś ukrytą, a długotrwałą chorobę, skoro w okresie paru miesięcy, mimo istnienia Zawodowego Związku Plastyków w Szczecinie, nie zdobył się tenże Związek nawet na wysiłek urządzenia jednej chociażby wystawy. (ts)

MUZEALNICTWO

Na tym tylko odcinku zanotować można stałe ożywienie. Dość wspomnieć, że Wydział Kultury i Sztuki zabezpieczył w Lohozie ponad 24.000 dzieł niemieckich z dziedziny medycznej i przyrodniczej i przekazał je Uniwersytetowi Curie-Skłodowskiej w Lublinie, w charakterze depozytu. Zabezpiecza się w dalszym ciągu i sprowadza do muzeów w Koszalinie, Białogrodzie, a przede wszystkim w Szczecinie szereg ciekawych zabytków. Mimo, że akcja zbiorki jest pilna ze względu na niszczenie zabytków, Wydział Kultury i Sztuki w Szczecinie nie może dokołać się u władz jednego chociażby auta na zwózki zabytków. Zwodzi się te rzeczy po prostu okazjynie, korzystając z grzeszności innych wydziałów. Z obiektów zwiezionych w lipcu budzą większe zainteresowanie dwa wielkie obrazy treści religijnej (drzeworyty) z początku XVI w., 8 portretów rodziny książęcej z XVII w., portret Melanchtona, kilkanaście druków z XVI i XVII w. oraz drzwi celi więźniarki, wydobyte z podziemia baszty Bogusława X, co podniosło liczbę znalezionych zabytków do około 200 pozycji. Muzeum w Szczecinie posiada znaczną ilość numizmatyków średniowiecznych, które znajdują się w stanie nieopracowanym, skutkiem braku specjalistów w tej dziedzinie. Z tego względu byłby pożądanym przyjazd kogoś z Muzeum Narodowego z Krakowa. Poza tym rozpoczęto poszukiwania w podziemiach zabytkowych budowli w Szczecinie, uzyskując pewne wyniki. (ts)

Akademia handlowa w Szczecinie

zawiadamia wszystkich, dotychczas zgłoszonych na studia (do 22. 8. było ich 1000 osób), by niezwłocznie złożyli — oświadczenie lub listem poleconym — niżej podane dokumenty i to pod rygorem nieważności zgłoszenia i niewydawania odpowiednich zaświadczeń dla powoływanych do wojska:

- podanie (z adresem),
- życiorys własnoręczny (z zawodem),
- metryka urodzenia lub dokument zastępczy,
- świadczenie moralności z milicji (tylko dla mających przerwy w nauce),
- matura lub równorzędne świadectwo,
- kвит na wpłosem 100 zł, ewent. pocztowy,
- 3 zdjęcia 6x4,5 cm. podpisane.

Adres: ZARZĄD MIEJSKI w Szczecinie, II p. lewo, Wydział Oświaty, pok. 84a

Poza tym wszyscy, mający braki w wyżej podanych wymogach formalnych, winni je wypełnić niezwłocznie.

(Wydał „Cin“, Praha 1946)

Z czeskiego spolszczył JUW.

Listy z Polskiego Zachodu

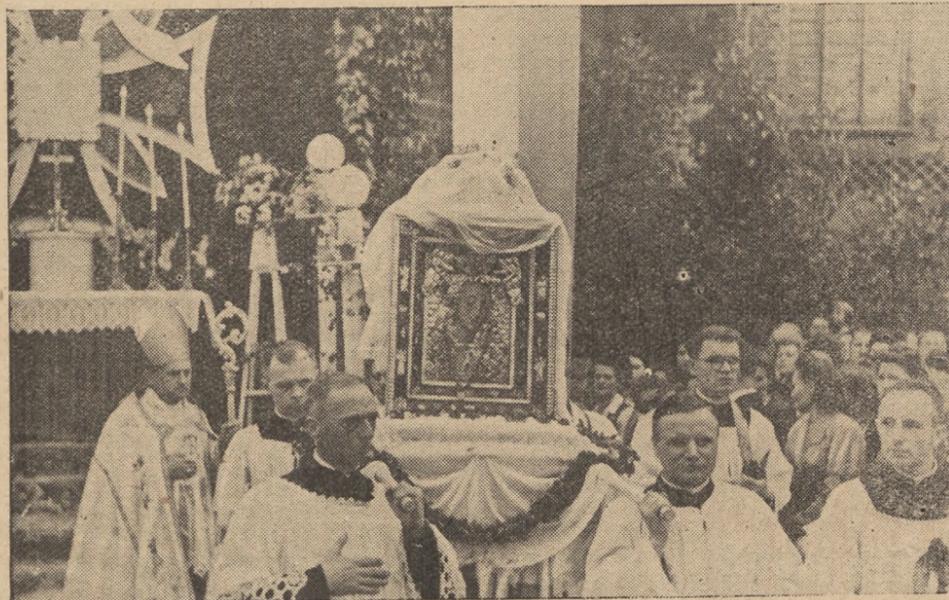
„To jest hystorya y początek...”

Gorzów, w sierpniu.

Ktokolwiek wejdziesz do chaty repatrianta ze wschodu, choćby przeszedł na przelaj Ziemię Lubuską i Pomorze Zachodnie, nie znajdzie prawie domu, w którym bra-

hurysa, a jedyny nasz dywan nie przykrywa jej dostatecznie. Albo widać obnażoną nogę, albo... zresztą proszę zobaczyć.

Rzeczywiście, z nad makaty wysuwał się kufel z puszystym piwem.



Cudowny obraz Najświętszej Marii Panny z Rokitna, repatriancka świętość.

Fot. Stolarczyk

kowaloby świętego obrazu. Postać Matki Boskiej Ostrobramskiej przybyła w te odległe strony razem ze swoim ludem, by nadal doznawać największej czci i hołdu. I mylnym byłoby przypuszczenie, że objaw ten jest ściśle zewnętrzny i nie ma związku z duchowymi przemianami osiedleńców na Zachodzie. Z transportu, który nieraz po wielotygodniowej podróży przybywał do celu, pierwsze pytanie, jakie rzucano, brzmiało: Czy jest kościół w tej wsi, czy jest ksiądz?

Zdarzył się nawet wypadek na Pomorzu Zachodnim, że repatrianci dowiedzieli się o księdzu sprawującym swój urząd o 30 km od ich miejsca pobytu. Nikomu nie donosząc o swoim zamiarze, wraz z całym dobytkiem przenieśli się do wsi znacznie brzydszej i więcej zniszczonej w pobliżu duszpasterza. Nie pomogła interwencja starosty, któremu zmieniło to planowanie osadnictwa. Nie pomogła również akcja milicji. Repatriantów wprowadziło zawrócono siłą do wsi ich startu, skąd jednak pod osłoną nocy po raz wtóry dokonali przeprowadzki. I postawili na swoim.

Innym dowodem potrzeby wypowiedania i ujawniania swych uczuć religijnych jest masowe stawianie krzyży przydrożnych na całym Zachodzie. Inicjatywa wychodzi przeważnie od samych mieszkańców danej wioski, którzy akt ten uważają za wielkie i prawdziwie radosne święto. Zdarzyło mi się być świadkiem takiej uroczystości w najbardziej charakterystycznej pod tym względem wsi, jaką chyba można spotkać na Ziemiach Odzyskanych.

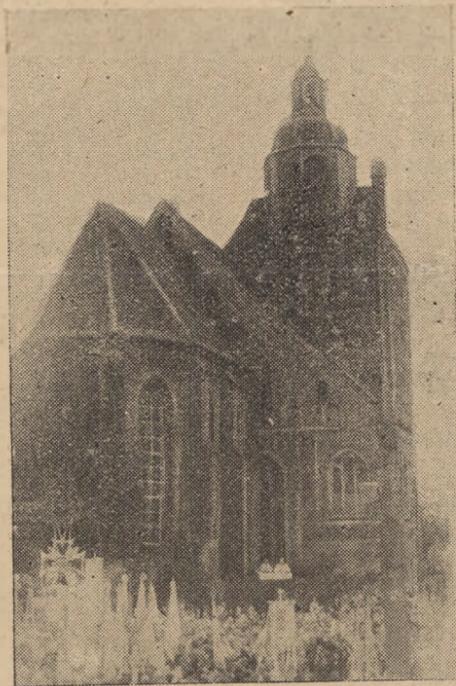
W dalekim powiecie złoczowskim była wieś Kozaki, posiadająca własny, umiłowany przez wszystkich kościół. Fundator jego, sławny jeszcze z czasów carskich na wschodnich rubieżach ks. Arcybiskup Karol Hryniewiecki, o którego zwłoki Wilno i Lwów toczyły walkę leżał na kozackim cmentarzu otoczony największą czcią ukochanego przez siebie ludu. Gdy nadszedł czas opuszczenia stron rodzinnych, długoletni proboszcz ks. Michał Krall, chcąc choć w części ukoić żal swoich parafian, postanowił przenieść kościół kozacki na Ziemię Zachodnią. Po niezliczonych trudnościach i staraniach uzyskano pozwolenie od tamtejszych władz. Zabrano więc w pierwszym rzędzie wszelkie sprzęty służące do mszy św., ornaty i kapy, dalej obrazy, wszystkie sztandary i wreszcie główny ołtarz. Najdziwniejszy ten transport, wiozący niemal całą parafię, po przeszło miesięcznej wędrówce dojechał do wsi Pyrzany.

Na palcach zliczyć można wioski w gorzowskim powiecie, w których nie ma kościoła. Akurat w Pyznanach działania wojenne jako jedyny obiekt zniszczyły świątynię, ale i ten problem rozwiązali zaradni mieszkańcy. Toteż gdy w niedzielę palmową odbyło się uroczyste stawianie krzyży, proboszcz odprawił już nabożeństwo w byłym domu ludowym jakiegoś niemieckiego bractwa.

Proboszcz Krall pokazywał mi po mszy św. z uśmiechem zażenowania na swej prostej, jakby z gliny ulepionej twarzy, skromny dywanik zawieszony na tylnej ścianie tego przymusowego kościoła.

— Tu miałem największy kłopot proszę pani. Pod spodem jest namalowana jakaś

Tymczasem mali chłopcy ciągnęli z niesłychaną satysfakcją za sznury trzech dzwonów, które podczas wielkiej wojny



Katedra w Gorzowie nad Wartą, świadek uroczystości religijnych, o których mówi artykuł.

zostały zrabowane do Warszawy. Wróciły później znowu na 20 lat do Kozaków, by drugą wojnę światową przeżyć w ziemi. Trzy pozostały z siedmiu. Resztę wzięto na armaty.

W każdej chacie repatrianta z Kozaków można zobaczyć fotografię Arcybiskupa Hryniewieckiego. Ludzie mówią o jego grobie z wilgotnymi oczami: To jedyne, czego nie mogliśmy zabrać.

Szczytową i spontaniczną manifestacją kościelną na zachodzie było ofiarowanie Administratury Apostolskiej Kamieńskiej, Lubuskiej i Prałatury Pilskiej dnia 15-go sierpnia Najśw. Marii Pannie. Równy rok przed tym ks. Biskup dr. Edmund Nowicki, były więzień Fortu 7, Gusen i Dachau rozpoczął swoje urzędowanie. Pierwszy duszpasterz nad 40 powiatami swojej olbrzymiej diecezji jako jedynego współpracownika miał wtedy 80-letniego ks. Paszkę, b. wikarego ks. Prałata Domańskiego, sławnego bojownika o Kościół i polskość na Ziemiach Nadodrzańskich. Dziś Administratura liczy 228 parafii (powinno być 500) i 285 księży (powinno być 700).

Kilkanaście tysięcy ludzi zjechało do Gorzowa nad Wartą stolicy Ziemi Lubuskiej i siedziby Kurii Biskupiej na dzień ofiarowania. Z jaką dumą nieśli pyrzaniacy w ciągnącym się kilometrami pochodzie, wśród 170 chorągwi przybyłych z całej diecezji swoich 12 ze wschodu uratowanych sztandarów. Uroczystość była podwójna. W dniu tym przyszła do Gorzowa pielgrzymka z Rokitna, dziś już nazywanego „Częstochową Ziemi Zachodniej”, a leżącego w powiecie skwierzyńskim. Przyniosła ona ze sobą cudowny obraz Matki

Boskiej, niegdyś własność wielkiego kancelerza koronnego Leszczyńskiego.

Historię jego dało się odcyfrować do roku 1670, kiedy to w marcu został ogłoszony przez ks. Dziekana Steczewicza ze Zbąszynia na zarządzenie Władz Kościelnych, za cudowny. Trudno ujrzyć piękniejszą i zawierającą więcej słodyczy twarz Matki Boskiej na jakimkolwiek ze znanych cudownych obrazów. Jego wartość wzrasta tym więcej, że mimo iż podczas działań wojennych skradziono drogocenne wotywa i koronę, przez setki lat germańskiej niewoli zachował się na sukni Najśw. Marii Panny biały, polski orzeł z napisem: „Da pacem Domine”.

Nic nie działa tak dobroczynnie na przesiedleńców jak nie dająca się tutaj zaprzeczyć wielowiekowa tradycja polskiego kościoła. I Pomorze Zachodnie szczyli się miejscem świętym. Mam w ręku pewien dokument z roku 1777, kiedy to ksiądz Andrzej, Józef Delerdt spisał dla „WJMość Pani de Szwandrowcy (nazwisko prawie nieczytelne) historię cudownego obrazu Matki Boskiej znajdującej się w powiecie waleckim. Historia poprzedzona jest przedmową rozpoczynającą się od słów: „Łask Boskich nieprzebrana Najświętsza Maryo Bolesna w obrazie Skrzetuskim od dwóch wieków w całej Wielkopolszcze cudami słynąca. To jest hystorya y początek Obrazu Skrzetuskiego oraz z Cudami y Łaski zebrane a od czterech Teologów po roztrząśnieniu tychże uznane, a przez Prześwintną Zwierzchność Duchowną aprobowane roku 1660.”

W dalszym ciągu następuje opowieść o losach obrazu, którego w roku 1575, gdy: „... tak się pograniczne Miasta y Wsie w Polsce luterskiemi błędami byli zarazili... garnarcz z miasta J. Król. Mości w

Starostwie Nyskim leżącego Piły, aby obraz Matki Boskiej znajdujący się we wsi Chwardym, a po niemiecku Mellentin, z rąk Heretyckich wybawił, pobożnie zażywa zdrady. Udaiać jakoby dla zabawy swych dziełek ten obraz gdyż był z drzewa rżnięty kupić chciał, pieniądze pewne Heretyckiemu pospółstwu obiecał. Od których bez żadnej trudności ten obraz otrzymawszy z wielką duchowną pociechą do domu powracał.”

Garnarcz ów zatrzymał się na nocleg w Skrzetuszu i tam obraz już pozostawił. Kronikarz mówi dalej o „Cudach y Łaskach” jakie cudowny obraz zesłał. Akt kończy spis nazwisk tych, którzy wota dziękczynne na ołtarzu Matki Boskiej złożyli.

I właśnie ludzie, którzy opuściwszy strony rodzinne przybyli na daleki Zachód, jedyną pociechą znajdującą w tym, że na tych nowych dla nich ziemiach jest Kościół katolicki, są księża. Wystarczy przytoczyć jeszcze jedną rozmowę charakteryzującą potrzeby repatrianta. 15 sierpnia zbierano w całej diecezji datki na Seminarium Duchowne, które w najbliższym czasie powstanie w Gorzowie.

— Na co idą te pieniądze? spytał nieufnie pewien chłop z za Bugu, gdy zbliżono się do niego z puszką.

— Na Seminarium Duchowne. Żeby było więcej księży.

Repatriant rozpozgodził twarz i ochoczo złożył większą kwotę.

Mimo tylu jednoznacznych objawów można czasami odnieść wrażenie, że mało kto w Polsce zdaje sobie sprawę, jak kolosalną rolę spełnia na Ziemiach Odzyskanych Kościół. Jest on pierwszym czynnikiem ułatwiającym zapuścić korzenie tym ludziom, co odeszli ze swoich domów. Nad dwiema wielkimi dzielnicami, minionym Wschodem i nadechodzącym Zachodem, tylko Wiara i Kościół jest w stanie przetrzymać i niesprawnie, jak im się wydaje, wędrowni narodów.

Natalia Bukowiecka-Kruszonowa.

Młodzież w zamku większyckim

Więszyce, w sierpniu.

Przed rokiem stał na wzgórzu większyckim w otoczeniu drzew rzadkich, sprowadzonych z zagranicy, zamek bez okien, bez drzwi, bez okuć, bez instalacji elektrycznej, z poniszczonymi przewodami wodociągowymi, zanieczyszczony, opuszczony przez Boga i ludzi.

Jeśli się tam człowiek pojawił, to z myślą podobną myśli człowieka, który ściga z nieboszczyka resztki odzienia, buty i wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość.

Taki był los Opolszczyzny w roku 1945. Dłaczęgój miałby być wyjątkiem zamek większycki?

10 października 1945 przystąpiono do remontu oszabrowanego i zniszczonego zamku. Kosztorys robót remontowych zamyka

szony. Krząta się tu cały zastęp kobiet, które czyszczą, szorują, ustawiają meble i napychają słomą sienniki.

24 kwietnia b. r. przyjeżdżają słuchacze na I kurs letni Uniwersytetu Ludowego Ziemi Opolskiej. Słuchacze zjeżdżali się kilka dni, przybywali z pewnym niedowierzaniem i obawą, nastawieni przez szeptaną propagandę, że uniwersytet, to nie jest nic innego, jak tylko miejsce zbiórki dla młodzieży, którą wywiozą do robót przymusowych. Mimo tych wieści, zjechało się 24 dziewcząt i 7 chłopców z powiatu kozielskiego. Jedna słuchaczka przyjechała z powiatu gliwickiego. 29 uczestników kursu, to autochtoniczna młodzież opolska, 2 repatriantów. 29 kwietnia ustawiła się młodzież przed zamkiem w dwuszereg. Padał z ust słuchaczy I kursu letniego



Młodzież opolska na otwarciu pierwszego kursu letniego w Uniwersytecie Ludowym w Więszycach.

kwota 186.000 zł. Zaludniły się puste mury. Mijają się na schodach stolarze, murarze, ślusarze, elektromonterzy, a później malarze i szklarze.

Taki rozgwar pracy trwa prawie bez przerwy do 20 kwietnia b. r. W ostatnich dniach rytm pracy jest wyraźnie przyspieszony.

U. L. w Więszycach słowa przyrzeczenia: „Przyrzekamy, że przekazany nam przez naszych ojców najdroższy skarb — mowę polską zachowamy, z naleciałości pruskich oczyścimy, a czystą przyszłym pokoleniom przełączymy. Tak nam dopomóż Bóg!”

I biegly otdad dni pracy w Uniwersytecie Ludowym w Więszycach. Były szare i radosne, znaczone mocnym przeżyciem, odcinające się od tamtych swą powagą i uroczystością. Najwięcej było dni szarych, w których mozoliły się głowy słuchaczy i nauczycieli nad ważną sprawą — jakby to zrobić, by w najkrótszym czasie nauczyć się poprawnie po polsku mówić, pisać i czytać. To było największe pragnienie nas wszystkich i słuchaczy i wychowawców.

Wychowawcom wydawała się sprawa pisania rzeczą prostą i łatwą, a dla słuchaczy pytanie czy pisać y czy e, czy pisać a czy e, rz czy sz urastało do problemu, który przekraczał ich siły i wydobywał często westchnienie — „nie, tego chyba nie zrozumieć nigdy“. A jednak powoli błędy znikły z zadań, referatów i artykułów do gazetki. Poczucie upośledzenia znikło, a rodziła się powoli śmiałość i polot w wyrażaniu swoich myśli. Słownik się wzbogacał. **Gazetki kursowe, kronika i referaty były wyrazem postępów w języku polskim.** Pod koniec kursu pisali słuchacze chętnie, na tablicy ogłoszeń pojawiły się opisy ważniejszych zdarzeń, uroczystości, wieczorów świetlicowych, momentów historycznych i odwiedzin U. L. przez obcych gości.

Historia otwarta młodzieży oczy na kraj, który niemiecka nauka wysmiała i wydrwiła. Zakonczaniem tej dziwnej przemiany była wycieczka do Krakowa i Zakopanego. Oto wypowiedź jednego z słuchaczy:

— Panie Kierowniku, ja do teraz nie wierzył w to coście nam mówili, ale dzisiaj, kiedy zobaczyłem Muzeum Narodowe, Katedrę i Wawel, zrozumiałem, jak bardzo oklamywali nas Niemcy. Od dzi-

siaj dumny jestem z tego, że mój ojciec był powstańcem i że zostałem zweryfikowany.

Podobnie w Tatrach. Ich surowe i groźne piękno wsączało do duszy nie tylko podziw, ale i siłę, moc, pewność siebie, budziło w duszach śląskiej młodzieży coś, o czym ludowy pieśniarz Śląska E. Imiela w „Starej Wieży“ tak pisze:

„Jest coś co na 'dnie duszy tkwi,
Coś, co może jeno tli,
Lękliwie w obcym tkwiąc popiele,
A choć popiołu sypią wiele
Ostatnią dusząc wspólność laszą
Tej iskry nigdy nie zagaszą.“

Próbowaliśmy podać rękę i tym w naszym środowisku, którzy szukali prostej drogi ku Polsce, którzy dość mieli błędzenia po krętych ścieżkach 7 wieków obcego panowania na Śląsku.

Przychodzili do nas starsi na ogniska, uroczystości, świetlice, przychodzili do nas dzieci. Jakże cieszyło nas takie zjawisko, że dzieci i młodzież śpiewają po wsi nasze pieśni, że dzieci, które przedtem śpiewały po niemiecku, tańczą i śpiewają na naszym tarasie trojaka i krakowiaka. — Pytam się dziewcząt: „Jakie to pieśni śpiewałyście wczoraj?“ Odpowiadają: „a te któreśmy na uniwersytecie śpiewały“.

Często podczas kursu wieczorem siedzieli ludzie z Więszyc koło naszego zamku i słuchali. Ktoby to pomyślał kiedyś, żeby tu w Więszycach, po lewym brzegu Odry, śpiewano po polsku, nie w ukryciu, ale otwarcie, głośno. Autochtonom rzecz ta wydaje się potężnym wydarzeniem historycznym, czym w rzeczywistości jest, a co tylko dla nas, mocnych w historii polskiej, jest proste.

Wiele spraw ważnych się tu dokonało. Oto co pisze słuchaczka z Kędzierzyna:

„Koniec kursu się zbliża. Ta grupka, która tam w Tatrach nad „Czarnym Stawem“ siedzi, to nie jest zwykła grupka ludzi. To jest rodzina. Przecież jak nasza Helenka Tatkowi powie: „Ty stary mruku“, to on się wcale nie obrazi, bo mu się zdaje, że to siostra do niego mówi. Kolega Cywka dzieli na wycieczce chleb sprawiedliwie, jak ojciec w rodzinie. A nasza Monika „smyczy“ 8 litrowy garnek nie dla siebie, ino dla nas wszystkich. Nie mówimy dużo słów. Wystarczy, jak powiemy: — żyliśmy jak bracia —“. Albo słuchacz z Ciężkowic tak opisuje wieczór pod Małym Kościelcem: „Zapada mrok. Po kamienistej ścieżce idzie grupka ludzi, którzy chcą się na krótki czas własnymi myślami zająć. Nie słychać żadnego głosu, żadnego śmiechu. Grupka usiada na zboczu Małego Kościelca i słucha szumu lasów i odgłosu rwącego strumyka. Nikt by się nie zdziwił, jakby ta grupka całą noc przesiedziała na tych niewygodnych kamieniach, sprawdzając swoją myśl, swoje dziwne odczucia.“

Trudno nam ująć to wszystko, co się na kursie podziało, w cyfry, bo też człowieka w jego przeobrażeniach wewnętrznych trudno obliczyć wykresem i statystyką. Pewno popełniliśmy i błędy, niejedno trzeba by na następnym kursie zmienić. Jednego jednak jesteśmy pewni, że uniwersytety ludowe, czy jakiegokolwiek ogniska oświatowo-wychowawcze na Ziemiach Odzyskanych są ważne i spełniają swoją misję. Jeden jest jednak warunek: **trzeba mieć wiarę w człowieka na Śląsku, wyrozumiałość i cierpliwość w okresie, gdy człowiek ten szukając Polski zmagają się w sobie, milczy, denerwuje sobą!** Bądźmy cierpliwi!
H. H.

I plastycy budują kulturę polską na Ziemiach Odzyskanych

Z kół artystycznych Śląska otrzymaliśmy następującą uwagę na temat udziału artystów-plastyków w akcji kulturalnej na Ziemiach Odzyskanych.

Liczne wystawy urządzone przez Zawodowy Związek Polskich Artystów-Plastyków dają możliwość zorientowania się społeczeństwu w stanie i osiągnięciach dzisiejszej plastyki w Polsce, a zarazem jeśli chodzi o wystawy śląskie, mają na celu propagowanie kultury plastycznej na daleko wysuniętych terenach Ziemi Zachodnich.

Duża frekwencja na wystawach jest dowodem, że tutejszemu społeczeństwu sprawy sztuki nie są obojętne mimo, że dzisiejszy przeciętny konsument nie bardzo orientuje się w założeniach współczesnej plastyki — po prostu brak mu odpowiedniego wykształcenia — nie umie patrzeć i za to nie można go ganić.

Natomiast od krytyki piszącego recenzję, czy też rozprawę o sztuce, wymagamy już pewnej kultury plastycznej, a co najmniej smaku.

Na Śląsku piszą o plastyce przeważnie osoby, nie mające z nią nic wspólnego, toteż nie dziwnego, że dochodzi do takich nieporozumień, jak np. artykuł pt. „Czy sztuka polska?“, drukowany w „Trybunie Robotniczej“. Autor tego artykułu żąda specjalnej sztuki dla mas, nawołuje do zerwania kontaktu ze sztuką francuską jako szkodliwego dla twórczości rodzimej i zarazem ostrzega, że „...my nie będziemy kupowali martwych natur, a ci co je kupowali, to już dawno odeszli...“ Kto odszedł i dlaczego autor występuje w liczbie mnogiej — tego z tej ignorancją wypowiedzi nie mogliśmy się dowiedzieć. Do niedorzecznych wypowiedzi na temat plastyki, szkodzących sztuce, należą też zdania artykułu pt. „Dwie dusze“ zamieszczonego w nr. 28 „Odry“.

Autor, p. Kamiński, omawiając sprawę Niemiec powojennych, udowadnia nam, że „Niemców musimy obłaskawić przez nakarmienie i wtedy przypuścimy bardziej do głosu drugą duszę (!) narodu niemieckiego, duszę narodu myślicieli i artystów (!). „Można nie brać tego pod uwagę (pisze p. Kamiński), ale fakt faktem pozostanie, że niemiecka sztuka plastyczna osiągnęła już w ostatnich czasach poważne zdobycze“ i powołuje się na czaso-

pismo „Kunst dem Volk“, w którym podobają się mu reprodukcje „najnowszych obrazów i rzeźb niemieckich“.

Dla każdego, kto się interesuje sztuką, jest wiadomym, że bardziej a-plastycznej sztuki, wyprutej zupełnie z wartości artystycznych jak sztuka hitlerowska — nie było. Co się p. Kamińskiemu podobało w „Kunst dem Volk“? Czy symboliczne obrazy, malowane w duchu hitlerowskim, czy też pseudoklasyczna rzeźba niemiecka, a może jednak został on wprowadzony w błąd technicznie ładną stroną tego pisma?

Artykuł p. Kamińskiego ma dla nas doniosłe znaczenie, bowiem udowadnia nam, że na Śląsku i Ziemiach Odzyskanych, pozbawionych styczności ze sztuką polską i z konieczności skazanych na konsumpcję twórców artystów niemieckich, pokutuje jeszcze duch sztuki hitlerowskiej.

Dzisiaj, po przesunięciu naszych granic daleko na zachód, po przyłączeniu Ziemi Zachodnich do Polski, przed Zaw. Związkiem Pol. Artystów Plastyków stoi doniosłe zadanie krzewienia kultury plastycznej na tych terenach przez urządzenie wystaw, odczytów popularyzujących sztukę itd.

Ważną jest też sprawa likwidacji pozostałości Niemców w dużej ilości obrazów malowanych w myśl konwencji hitlerowskich. Obrazy te pozbawione wartości artystycznej, możemy niestety, bardzo często spotkać w urzędach i instytucjach państwowych, a nawet w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach.

Miejmy nadzieję, że Woj. Wydział Kultury i Sztuki postara się o to, by te wątpliwej wartości „landzasty“ zamierić na obrazy polskich malarzy (Najlepsza okazja była na wystawie ogólnosląskiej w Bielsku, ale niestety, nie było tam żadnego oficjalnego zakupu ani nawet nagrody. Dla przykładu nadmienić należy, że na wystawie w Warszawie było przeszło 1 milion zł. zakupów, a w Sopocie na 200.000 zł.).

Niemniej ważną rzeczą dla rozwoju kultury na tym terenie jest sprawa muzeum. Na Śląsku panuje „muzeomania“. Prawie w każdym większym mieście znajduje się lub organizuje muzeum. Gromadzi się w nich przeważnie przedmioty

wątpliwej wartości muzealnej (bardziej wartościowsze eksponaty rozkradli Niemcy, a resztę wyszabrowano i wywieziono w głąb kraju).

W Pszczynie urządzono muzeum z pozostałych tam ponemieckich gratów, przeważnie nie mających nic wspólnego z muzealnictwem. Znajduje się tam cała kolekcja portretów niemieckich magnatów, nie posiadających żadnej wartości artystycznej i historycznej, a największą atrakcją dla zwiedzających jest łączonka niemieckiej księżnej, urządzona ze wszystkimi szykanami.

Wnętrze tego zamku i ta cała rupieciarnia czyni przygrębiające wrażenie, szkodliwie oddziałując na widza, któremu ten „lamus“ starzyzny podaje się jako eksponaty muzealne.

Osobną sprawę stanowią zabytki architektury słowiańskiej na Ziemiach Zachodnich. W powiecie kozielskim np. znajdują się stare drewniane kościółki, zabytki ludowego budownictwa słowiańskiego, w których są obrazy w stanie szczytkowym i nic się nie robi, żeby je ratować, a przecież świadczą one o kulturze słowiańskiej na tych ziemiach.

Doniosłe znaczenie dla rozwoju kultury plastycznej na Śląsku mają Szkoły Plastyczne, uruchomione w Katowicach i we Wrocławiu, w których młodzież ma możność, pierwszy raz w historii Śląska, kształcić się we wszystkich dziedzinach plastyki.

Zadaniem tych szkół jest kształcenie pełnowartościowych artystów — specjalistów, których brak daje się dotkliwie odczuć w silnie rozwiniętym przemyśle artystycznym Ziemi Zachodnich.

Plastykom zamieszkałym na Śląsku i Ziemiach Odzyskanych powodzi się w stosunku do innych części Polski najgorzej. Przyczyny należy szukać w przemysłowym charakterze Śląska i w ciągłym braku tradycji kulturalno-artystycznych na tym terenie. Należy ich otoczyć opieką, stworzyć odpowiednie warunki egzystencji, zainteresować się potrzebami Związków Artystycznych, a wtedy rozwój Śląska i Ziemi Odzyskanych będzie szedł równolegle we wszystkich dziedzinach życia.
Rafał Pomorski

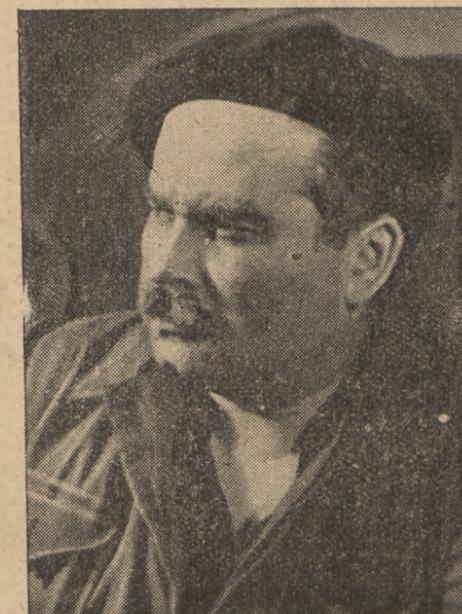
Nasi artyści



TADEUSZ SUROWA, aktor sceny katowickiej. Swe pierwsze kroki stawiał na scenie krakowskiej u dyr. Osterwy — później widzimy go w Wilnie u Szpakiewiczza i we Lwowie. Do najlepszych jego ról należą rola Albina w „Ślubach panińskich“, Trissolina w „Uczonych biologowach“ i Błazna w „Wieczorze trzech króli“.



ZUZANNA ŁOZINSKA, do niedawna aktorka sceny katowickiej, w nowym sezonie zaś sceny opolskiej. Długoletnia kierowniczka Teatru Ziemi Podolskiej z siedzibą w Stanisławowie. Miała wiele doskonałych ról. W minionym sezonie widzieliśmy ją, niestety, zaledwie w kilku mało wartościowych rolkach, Śląskowi dała się także poznać jako sugestywna recytatorka.



WŁADYSŁAW BROCHWICZ, artysta sceny katowickiej. W latach 1926 — 1936 występował we Lwowie. Z licznych jego doskonałych ról wymienimy Rotmistrza w „Damach i huzarach“, Szambelana w „Panu Jowialskim“, Alfreda Doolitla w „Pygmalionie“, Wicherkowskiego w „Domu otwartym“, Czepca w „Weselu“.

Komunikat

Czwartą listę składki Nagrody Literackiej Czytelników „Odry“ zamieszczamy w następnym numerze.

